

5.799.474
Nr. 2

1 fr.

**BIBLIOTECZKA
„MAŁEGO EMIGRANTA“**

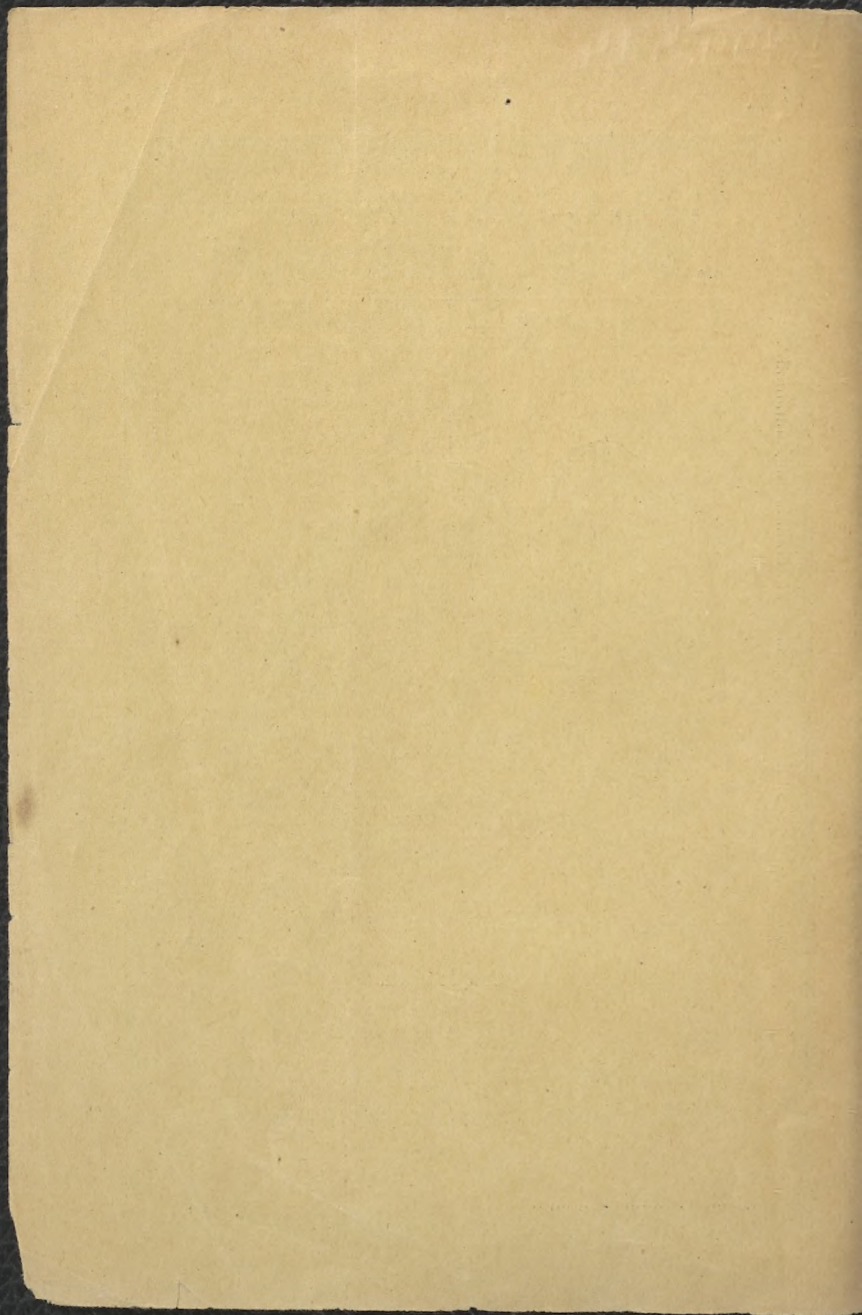
Pod redakcją Marji Wiąckowej

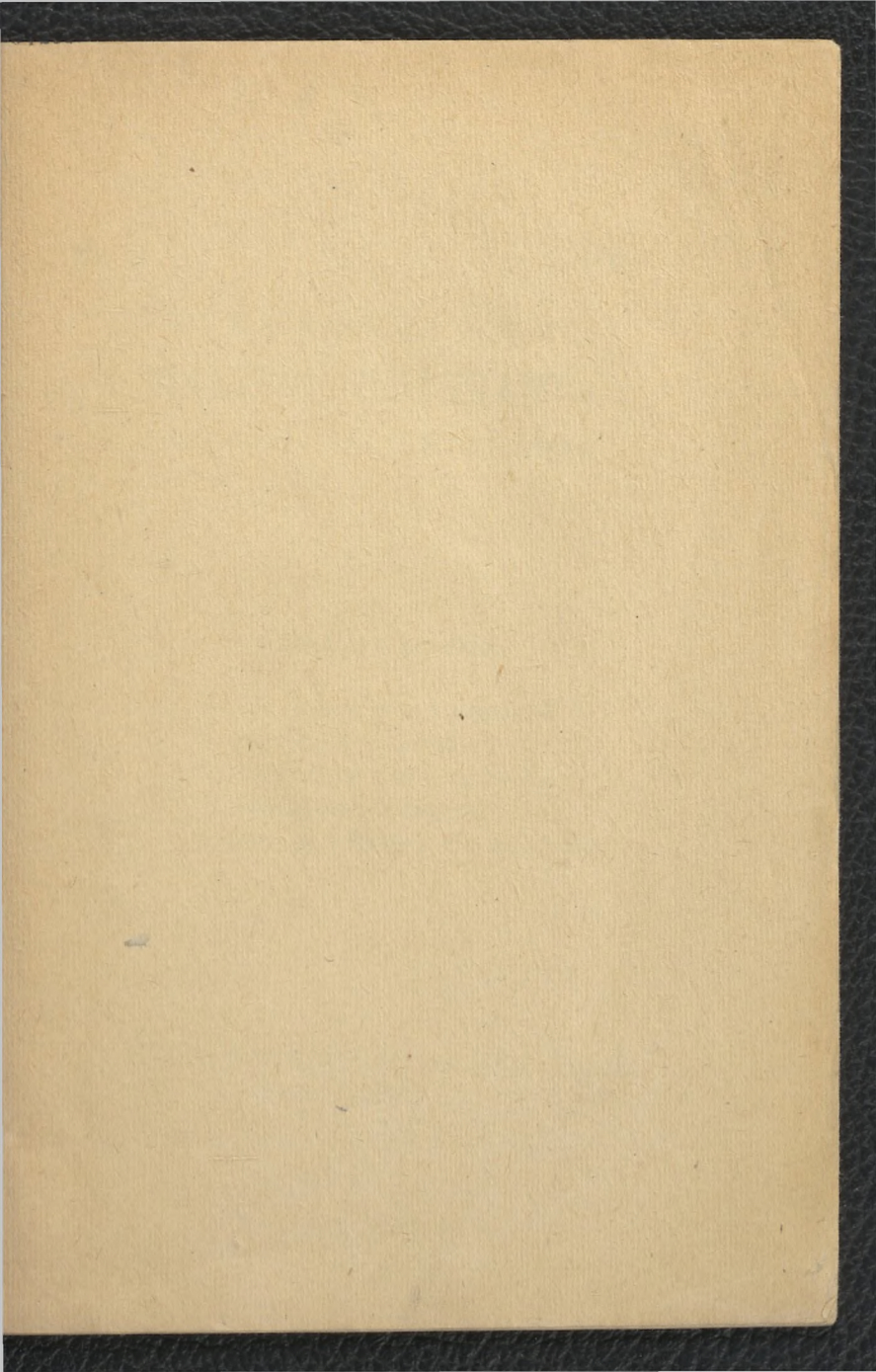


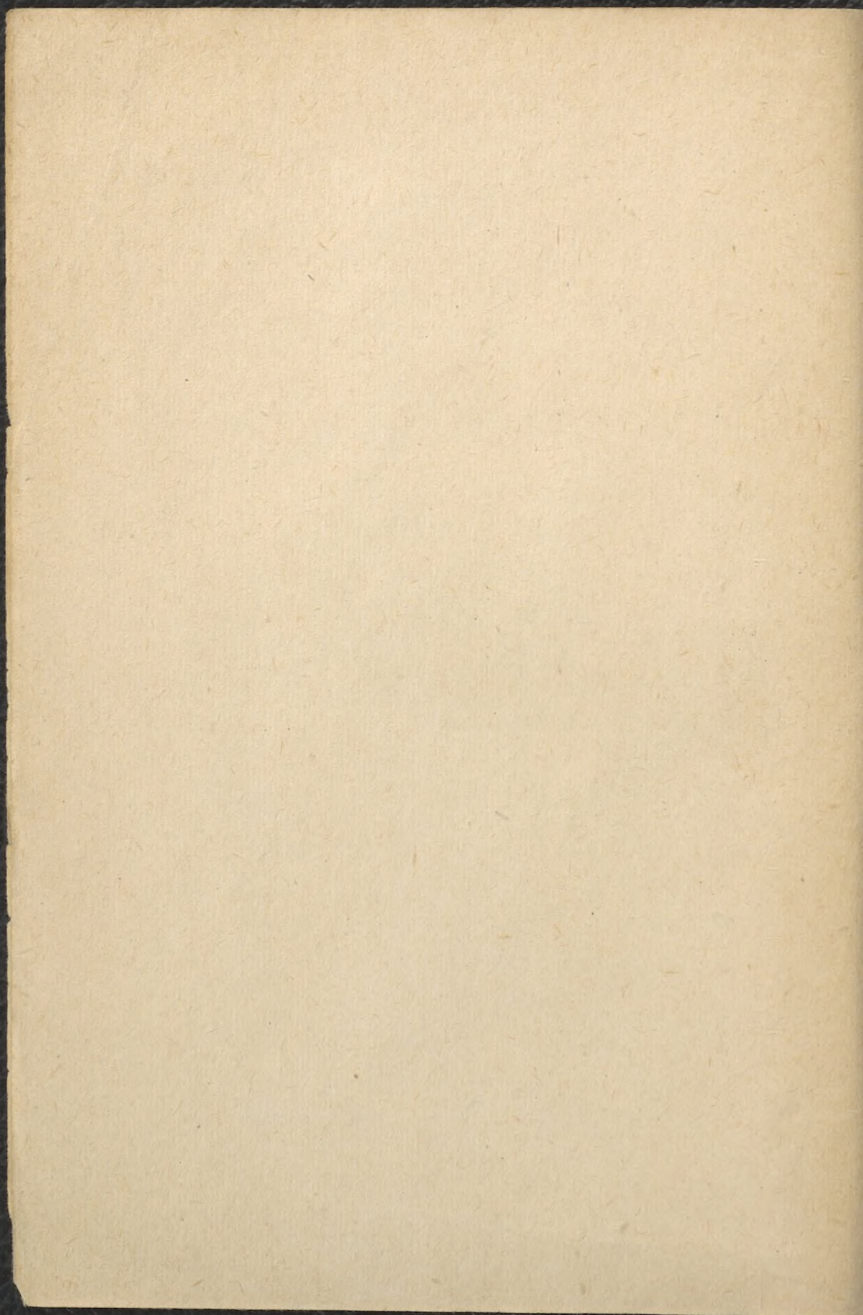
Czapla siwa.

2105

**Skład główny: 11, rue Jobbé - Duval,
Paris (XV^e)**







No 2

1 FR.

BIBLIOTECKA
"MAŁEGO EMIGRANTA"

Pod redakcją MARJI WIACKOWEJ.

* * *

WESOŁE BAJECZKI

1. JAK ZOSIA MYŁA KSIĘŻYC.
2. CHODZIŁA CZAPLA...
3. POSZŁA DO LASU JAGUŁA...
4. DZIADUNIO KSIĘŻYC.
5. BOCIAN I KUREK NA KOŚCIELE.

* * *

SKŁAD GŁÓWNY : 11, rue Jobbé-Duval,
PARIS (XV^e)

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016443141



I. 799.474



1971 K 258/1_b

JAK ZOSIA MYŁA KSIĘŻYC

—— A czy księżyc się myje — niespodzianie zapytała Zosia, wycierając buzię ręcznikiem:

Panna Janina uśmiechnęła się i odpowiedziała :

— Pewnie nie, bo któżby mu tak wysoko zaniósł wody ?



— Biedaczek — zmartwiła się Zosia — musi mu być bardzo nieprzyjemnie, że jest ciągle brudny.

A księżyc, który właśnie zaglądał ostrym sierpem do mieszkania, musiał usłyszeć słowa dziewczynki, gdyż jakdyby się zasmucił i zawstydził, zaciągając na uśmiechnięty profil ciemną chmurę.

— Biedny księżyc — powtórzyła Zosia i zamysliła się, jakby tu pomóc srebrnemu jegomościowi.

Głowiła się długo, nawet jeszcze wtedy, gdy leżała już w łóżeczku i gdy nauczycielka, zgasiwszy światło, wyszła z pokoju.

A księżyc jakby tylko na to czekał !

— Ledwo Zosia przyłożyła główkę do poduszki, zbiegł szybko po niebie, zastukał rogiem w okno i usiadł na gzymsie.

Fala silnego srebrnego światła uderzyła dziewczynkę. Podniosła głowę i ze zdumieniem ujrzała nieoczekiwanego gościa.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Czego pan sobie życzy ?

— Słyszałem — odpowiedział księżyc — jak mnie żałowałaś ; przyszedłem więc prosić cię, żebyś mnie umyła.

— A to dlaczego pan sam tego nie może zrobić ?

— Troszkę trudno, kiedy się nie ma rąk, uśmiechnął się księżyc. — A przytem o wodę u nas na niebie okropnie trudno.

Zosia była wprost zachwycona prośbą gościa. Przecież to nie byle co, myć samego pana księżycyca i narzuciła na siebie sukienkę. Potem

naląła wody w kubeczek, wzięła wielką gąbkę i podeszła do okna.

— Siądź na moim rogu — odezwał się księżyc, gdy dziewczynka sięgała gąbką do jego roześmianej twarzy — będzie ci wygodniej.



Zosia skwapliwie usłuchała rady i, zawieszwszy kubeczek, wzięła się do szorowania. Brudna woda spływała strugami na ziemię, a Zosia raz po raz zanurzała gąbkę w kubeczku, mydliła i tarła, i szorowała, szorowała !

Robota trwała dobre pół godziny, gdyż nigdy nie myty księżyc zarósł brudem porządnie. Ale zato, gdy go Zosia wytarła ręcznikiem, jaki był czysty, jak świeci! Zupemnie, jak nowy!

— No, dawno nie czułem się tak dobrze i lekko — odsapnął, gdy Zosia skończyła pracę.

— Dziękuję ci serdecznie. Postaram ci się odwdziaczyć i będę codziennie świecił dla ciebie. Ale teraz muszę uciekać, bo się boję, żebym się nie zapóźnił. Do widzenia!

— Do widzenia — odpowiedziała Zosia.

Księżyc w tej samej chwili pobiegł do góry, a znalazłszy się na zwykłym miejscu, długi czas posyłał w kierunku dziewczynki wesołe uśmiechy.

Zosia patrzyła dość długo, aż wreszcie znużona, wślizgnęła się cichutko do łóżeczka i zaraz zasnęła.

Kiedy na drugi dzień przy śniadaniu opowiadała swoją dziwną przygodę, nikt jej nie chciał wierzyć. A co gorsza, starano się w nią wmówić, że to był sen. Ale Zosia wie dobrze, że wszystko działo się rzeczywiście i tylko dla niej jednej nie jest tajemnicą, dlaczego teraz księżyc jaśniej i weselej świeci.



CHODZIŁA CZAPLA...

Mieszkała sobie czapla w zaroślach nad trzęsawą, nad bagnami, nad bystremi wodami. Po bagnach, po trzęsawach na wysokich nogach chodziła, po bystrych wodach brodziła, rybki łowiła.



Czapla siwa.

Razu jednego przychodzi bocian długonogi na bagno, patrzy wprawo, patrzy wlewo : żaby mu pod nogami skikają, węże tu i tam się przewijają, a on żab nie łyka, węzów nie łapie, jesz-

cze dziobem kłapie i w trawie czegoś wypatruje.

— Szary panie bocianie, czegoś ty taki mar-
kotny ? — pyta czapla.

— Piór mi zabrakło do wystania gniazda —
powiada bocian. — Szukam, szukam, oczy wy-
patruję i ani jednego piórka znaleźć nie mogę.

Więc czapla podarowała sześć piór boci-
nowi.

— Masz — powiada — niech twoim dzia-
tkom będzie miękko.

Wraca czapla do domu, kłapie po błocie,
brodzi po wodzie i tak rozmyśla :

— Wielka szkoda, że darowałam pióra bo-
cianowi, takie były piękne, puszyste ; nie dziś,
to jutro mnie samejby się przydały. Trzeba pójsć
odebrać.

Więc idzie czapla na wysokich nogach po
błotach, po bojarach, po długiej desce, aż za-
szła do samego pana bociana i tak powiada :

— Oddaj mi pióra, bo się już rozmyśliłam ;
nie mogę ci dać ani pióreczka, bo mnie samej są
potrzebne.

Zaklekotał bocian żałośnie, ale oddał pióra.

Idzie czapla do domu po bajorach, po bło-
tach, po długiej desce i rozmyśla :

— Źle postąpiłam z tym bocianem, pióra
mu na gwałt potrzebne, a ja mam ich dość.
Zmartwił się biedak, żal mi go serdecznie. Trze-
ba mu zaraz odnieść pióra.

Idzie więc czapla na wysokich nogach po trzęsawach, po bagnach, po długiej desce, wraca do pana bociana i mówi :

— Bocianku, przyjacielei kochany, nie gniewaj się na mnie ; wiem, że ci pióra są potrzebne, a mnie one na nic, — odnoszę je tobie i bardzo grzecznie proszę, zabierz je napowrót.

Bocian poklekotał, poklekotał, ale pióra wziął, bo mu strasznie były potrzebne.

Wraca czapla do domu, kłapie po błocie. brodzi po wodzie, i myśli sobie :

— Pocóż ja pióra oddałam bocianowi ? Czy to ja taka bogaczka, czy to i moim dziatkom pióra się nie przydadzą ? Nie, to niepodobna, muszę zaraz pióra odebrać bocianowi.

Idzie czapla na wysokich nogach po błotach, po bajorach, po długiej desce, aż zaszła do samego pana bociana i tak powiada :

— Oddaj zaraz pióra, przecie ja dla ciebie nie mogę własnych dziątek obdzierać !

Zaklekotał bocian żałościwie, ale oddał pióra.

Wraca czapla do domu, kłapie po błocie, brodzi po wodzie i tak rozmyśla :

— Źle postąpiłam z tym bocianem, pióra mu na gwałt są potrzebne. Zasmucił się biedak, zamartwił. Doprawdy szkaradnie postąpiłam, trzeba go zaraz pocieszyć.

Idzie czapla na wysokich nogach, po trzęsawach, po bajorach, do długiej desce, aż zaszła do samego pana bociana i powiada :

— Bocianku, przyjacielu kochany, nie gniewaj się na mnie ; wiem, że ci pióra na gwałt są potrzebne, a mnie one na nic. Odnoszę je tobie i bardzo grzecznie proszę, zabierz je napowrót.

Bocian poklekotał, poklekotał, ale wziął pióra.

Wraca czapla do domu, klapie po błocie, brodzi po wodzie i myśli sobie :

— Pocóż ja pióra oddałam bocianowi ? Czy to ja taka bogaczka, czy to i moim dziatkom pióra się nie przydadzą ? Nie, niepodobna. Muszę zaraz pióra odebrać.

Idzie czapla na wysokich nogach po błotach, po bajorach, do długiej desce... czy mówić jeszcze ?



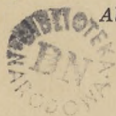
BOĆKI PRZYLECIAŁY.

Boćki, boćki przyleciały ! Boćki, Boćki już wrócili !
Siadły na stodole, Z niemi wiosna wróci...
Stare gniazda powitały, I powitał wietrzyk miły...
Frunęły na pole. Człek się już nie smuci !



Nie smuci się człek, lecz Pójdą troski het za morza,
Całą swoją duszą, [cieszy Zaświeci słoneczko,
Bo gdy wiosna do nas Bo już idzie wiosna hoża...
śpieszy, Witaj nam, wiosenko !
Troski prysnąć muszą !

Alina KWIECINSKA.



B A J K A

Poszła do lasu Jaguła (wystąpiła ją tam matuła), do lasu dębowego, do lasu dalekiego, zbierać rydze i grzyby.

Chodzi po lesie i piosenkę śpiewa, a jej nutę wiatr niesie od drzewa do drzewa. Chodzi, chodzi, niema nic !... Ni tu grzybek, ni tu rydz !...

Myśli sobie Jaguła : « Toć mówiła matuła, jak nie znajdziesz w dębowym, zdybiesz pewnie w sosnowym ».

Poleciała jak strzała, więc i śpiewać przestała, a nóżkami drobnymi, zgina trawkę do ziemi.

Stała w sosnowym lesie, patrzy, patrzy, dziwuje się.

Stoją chojary wielkie, jak wieże, stoją i szumią gałązeczkami, a smółka toczy się po pniach brunatnych, jakby płakały złotymi łzami.

Tu zając smyrgnie, tam dzieciół puka, wieświorka skoczy, orzeszków szuka.

A Jaguś patrzy i dziwuje się : « co tu piękności w tym dębowym lesie ».

Chodzi, szuka, niema nic. Ni tu grzybek, ni tu rydz !... Tylko wiaterek w trawce szeleści, i bosc nóżki przyjemnie pieści.

Naraz — patrzy, staje, słucha, patrzy i nadstawia ucha. Jakieś dziwy ! jakieś czary ! idzie ku niej dziadek stary... Płaszczyk bielutki, kapeluszek czerwony, z wierzchu białymi plamkami



A gdzie rękę podniesie, to wnet w całutkim lesie muchomory się czerwienią, pomiędzy trawą zielenią...

upstrzony. Człek — podobny do potwora ! Człek w postaci muchomora !

A gdzie rękę podniesie, to wnet w całutkim lesie muchomory się czerwienią, pomiędzy trawy zielenią...

Jagule aż dech zapiera... A stary na nią spoziera i mówi :

— Chciałaś grzybów, zbieraj grzyby ! Pełen koszyk bez ochwyty : Jakie piękne, czerwone, jakby mlekiem upstrzone !

Ale Jagula choć mała, rozkazu nie usłuchała i rzeknie do starego :

— Oj, oj, ty nie dobrego ! Nie dotknę się muchomora, bo nie chcę, nie chcę być chora. — Twoje grzyby muchy trują, a ludzie ich nie gotują ! Matusia zbierać kazała : borowiki i rydzyki, maślaki i koźliki, bo z nich potrawa smaczna i zdrowa.

Ledwie wyrzekła Jaguś te słowa, aż tu w lesie nowe dziwy !...

Idzie panicz urodziwy, cały żółto-różowy, świetny, niby w złocie, a za nim jakiś stary w brunatnym kapeluszu i białej kapocie. Śmieją się i minki robią, dziadkowi marchewkę skrobią, a Jaguli się kłaniają, coraz bardziej się zbliżają i starszy rzece :

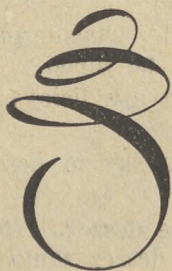
— Ja król grzybów, a to mój dworzanim rydz. Koźlaki, maślaki — moi pacholcy ; reszta bedłków nie warta nic ! Żeś roztropna, choć tak młoda, nie minie cię nagroda. Patrz !

A Jagulka bez strachu, dziwnie wesoła, na rozkaz króla grzybów spogląda dokoła. I widzi

same borowiki, młodziutkie różowe rydzyki i piękne płaskie maślaki, wysmukłe szare koźlaki. — Zbiera grzybki bardzo rada, do koszyczka je układa. Ot ! już koszyk pełniusieńki, będzie radość dla mateńki. Chce królowi grzybów dziękować, radaby nóżki jego całować... Gdzie król borowik, gdzie dworzanin rydz ? Patrzy... patrzy — niema nic...

Stoi jak wryta i dziwuje się : « To jakies czary w tym gęstym lesie... »

Wzięła koszyk na rękę, podkasła sukienkę, jak strzała, do matki poleciała.



ADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA

DZIADUNIO-KSIĘŻYC

Jednego wieczoru dziadzio-Księżyc bardzo późno wyrzał z poza lasu i posuwał się po niebie wolno... wolniutko...

Chory był, czy co? Aha, pewnie bolały go zęby, bo z jednej strony spuchł mu policzek, nos przekrzywił się na bakier i oczy też się skrzywiły.

Naprawdę wyglądał jak nieboskie stworzenie, a przecież księżyc przez Pana Boga jest stworzony...

No, lecz wiadomo w chorobie każdy brzydnie.

A dziadunio-Księżyc naprawdę widać był chory.

Musiał mieć dreszcze, bo na głowę włożył ogromną czapkę z złotem, futranem oszyciem.

Jacyś ludzie w tej właśnie porze szli ścieżką pod lasem. Patrzyli na niebo.

— Oho!.. Księżyc w lisiej czapie! rzekł jeden.

— Z pewnością będzie deszcz, powiedział drugi.

— Nie daj Boże deszczu! Na polu żyto w pokosach leży. Jak deszcz zamoczy pokosy, żyto zmarnieje.

— Nie daj Boże deszczu, powtórzył znowu pierwszy z ludzi.

Ale wszystko za tem że deszcz spadnie. Cała nasza praca na nic. Żyto zmoknie, mąka będzie zła i chleb niezdrowy

— O nas dorosłych to tam mniejsza, ale o dzieci chodzi.

Westchnęli obydwaj i poszli dalej.

Dziadzio-Księżyc, że to jeszcze był dość nisko nad lasem, usłyszał doskonale całą rozmowę i zrozumiał — bo księżyc, jako że chodzi wciąż naokoło świata, to wszystkie języki rozumie.



Spojrzał dziadzio-Księżyc przed siebie.

— Ano tak.

Mają ludzie rację. Wszędzie widać chmury, na prawo, na lewo... tu, tam... wszędzie.

I coraz nowe nadchoǳą... Ciężkie od deszczu czarne jak smoła.

Trzeba coś radzić. Trzeba pomóc ludziom. Uda

— Co tu robić ? myśli dziadzio-Księżyc. się nie uda. spróbować należy.

Nie darmo mnie przecież Pan Bóg stróżem na ziemi nazaczył...

Żebym tak miał jaki taki wiaterek do pomocy. We dwu dalibyśmy tym chmurzyskom radę... Ale gdzie go szukać ?...

Przecież ludzie mówią, jak czego nie mogą znaleźć « Szukaj wiatru w polu... »

rewnie śpi sobie gdzie za górami, za lasami..

Mylił się dziadunio-Księżyc.

Wiaterek był blisko — bliżutko.

Ułożył się właśnie spać w olszynie nad rzeką, i już... już zasypiał.

Wtem, księżyc sypnął prosto w niego swemi promieniami.

— A schowaj-że się za chmury dziadunio-Księżycu, zawołał wiaterek. Zmęczony jestem. Chcę spać.

Ale dziadunio-Księżyc w odpowiedzi jeszcze lepiej zaświecił.

— Wstawaj ! wstawaj śpiochu ! Mam pilną robotę dla ciebie. Później wyśpisz się.

Na to wiaterek.

— Robota nie zając, nie ucieknie. A ja chcę spać teraz, nie później. I tobie dziadunio radzę schować się za chmury i odpocząć. .

Takiś blady, że aż strach ! Co tam będziesz włożył się po nocy. Czyś to ty stróż nocny. Czy co ?

— A właśnie, jakbyś zgadł. Stróż jestem. U Pana Boga na służbie. Chorym co prawda trochę. Mam katar. Ale to nic, katar — katar, a robota — robotą. Szczególniej teraz. Ani chwili czasu do stracenia niema.

I opowiedział wiaterkowi rozmowę tych dwojga ludzi pod lasem.

Zakończył zaś tak.

— Mój wiatereku kochany, ty też jesteś przecież na służbie u Pana Boga... jesteś stróżem świeżego powietrza więc...

— Nie stróżem, nie, tylko dozorcą, przerwał wiaterek. Cóż to, nie wiesz dziaduniu, że teraz nie wolno mówić stróż, tylko dozorca. Żaden człowiek na to się nie zgodzi i ja też nie godzę się.

Dziadzio — Księżyc uśmiechnął się.

— Niby to lepsze słowo « stróż » niż « dozorca ».

Mówi się przecież Anioł Stróż. To do anioła można powiedzieć « stróżu », a do człowieka nie ? Zresztą, mniejsza o to.

— Mój panie dozorczo świeżego powietrza, pomóż mi porozpędzać chmury. Oddamy ludziom wielką, wielką przysługę.

— Niebardzo mi się chce, zamruczał wiatr. Nalatałem się cały dzień porządnie. Aż mnie nogi bolą.

— Kiedy ty nie masz nóg wiatereku.

— No, to mnie bołą kości.

— Kiedy ty nie masz kości.

Zaperzył się wiatr.

— Co mam, to mam, ale wszystko mnie bo-
li.

— Więc odmawiasz mi ?

— Tego nie powiedziałem. Nie chce mi się
to prawda, ale trudno. Służba — służbą.

Podniósł się wiaterek z ziemi. Leniwie,
ociężale ale się podniósł.

Dmuchał raz, drugi, trzeci, a potem taka
w niego ochota wstąpiła, że ino szum było sły-
chać, tak hulał po niebie.

Chmury uciekały przed nim, jak szalone, a
dziadunio-Księżyc, niby wódz przedzierał się
przez nie.

Zanim północ nadeszła, niebo było czyściut-
kie, bez najmniejszej chmurki.

I żyto na polach nie zamokło.



BOCIAN I KUREK NA KOŚCIELE

Na wyniosłej topoli opodal kościoła miał gniazdo bocian. Gniazdo już miało dobrych kilka lat, bocian był od niego starszy, a o wiele, wiele starsza była topola. Ale nawet od niej, staruszki, już bardzo wiekowej, starszy był kościół, pamiętający bardzo dawne czasy. Nowy był na nim tylko dach, bo stary zapadł się niedawno, — i figlarny kurek na wieży. Tak jakoś się złożyło, że kurek był rówieśnikiem boćka i topoli. W jednym roku zamieszkali w tej okolicy i od tego czasu datuje się ich znajomość. Przyjaźń zaczęła się znacznie później.

Początkowo bocian z pogardą patrzył na metalowego ptaka, co najwyżej mógł się obracać dookoła siebie, ale nawet nie zamarzył, by zejść z miejsca, a tembardziej poprunąć. Całe lato nie wymienił z nim ani jednego słowa, a odlatując, nawet się nie pożegnał.

Dopiero gdy bardzo stęskniony wracał do kraju na wiosnę, powitał kurka jak dawnego znajomego.

— Jak się masz, koguciku — zaklekotał wesoło — widzisz, wróciłem !

A kurek radośnie zakręcił się dokoła. I od tej chwili zaczęła się przyjaźń.

Codziennie nad wieczorem prowadzili ze sobą długie rozmowy. Bocian opowiadał o swych przygodach w podróży, o Egipcie, o piramidach, sfinksach i krokodylach, i również o naszych łąkach i stawach, słowem o wszystkim, czego

biedny kurek, mocno umocowany, zobaczyć nie mógł.

Zato kurek był bardzo mądry. Nie miał przecie nic do roboty, a nie chciał by mu się w czasie długiej samotności nudziło. Rozmyślał więc całymi dniami i wymyślił bardzo wiele mądrych rzeczy. I tylko szkoda, że nie miał papieru, atramentu i pióra, boby napewno napisał niejedną ciekawą książkę. Zwierzył się z tem kiedyś bocianowi.

— Ty jeden mógłbyś mi pomóc, przyjacielu — dodał z westchnieniem.

— Kurku najdroższy, rozkazuj, polecaj, zrobię wszystko, co w mojej mocy — gorąco oświadczył bocian.

Cenił bowiem bardzo wysoko mądrość przyjaciela i uznawał swoją niższość wobec niego.

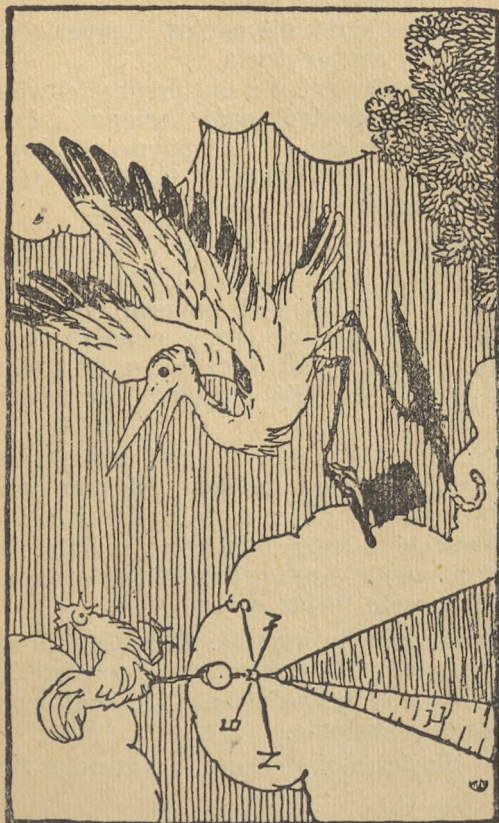
Kurek się zadumał, poczem przemówił :

— Tak, tylko ty jeden. Pióro mógłbyś mi pożyczyć z ogona, ale po papier i atrament musiałbyś się udać do ludzi. Nie tak to trudno, jest lato, okna cały dzień otwarte, więc łatwo uchwycisz chwilę, gdy nikogo w domu nie będzie.

Bocian bez wahania zgodził się na plan kurka. Czatował cały poranek niedaleko okien pobliskiego dworku. Cóż, kiedy ludzie kręcili się i kręcili. Wreszcie jakoś zrobiło się i w pokojach i w ogrodzie pusto. Bociek jak strzała wpadł przez okno do pokoju. Chwytał upatrzony zgóry plik papierów. Myślał o kałamarzu, ale ten się już nie mógł w dziobie zmieścić.

Frunął do kościoła i wręczył zdobycz uradowanemu kurkowi. Pofrunął po raz drugi i zdołał złapać kałamarz. Cóż, kiedy niósł go tak niefor-

tunnie, że cały atrament wylał się na śnieżno-
białe jego piersi. Nie to jednak głównie zasmu-
ciło bociana, lecz fakt, że jego przyjaciel będzie



pozbawiony możliwości napisania księgi. Próbo-
wał potem zdobyć atrament w innych domach,

lecz wszędzie z tym samym wynikiem. Wreszcie gdy w całej okolicy powstał hałas o to, gdzie giną kałamarze, musiał zrezygnować.

I dlatego kurek nie napisał i zapewne nigdy nie uwieczni swego dzieła.

Nadeszła jesień, a z nią przykre chwile rozstania. Płakał bocian, pani bocianowa i bocianięta, żegnając się z ukochanym przyjacielem. Jeszcze więcej płakał biedny kurek, na tak długie miesiące zostający w samotności.

Bociany odleciały. Przyszły szarugi jesienne, po nich mrozy i zawieje zimowe.

Kurek kręcił się pod zimnemi podmuchami, rzadkie mając zaledwie chwile odpoczynku. Mróz go ziębił, śnieg zacinał. Lecz gorsza od tych przykrości była samotność i tęsknota za przyjacielem.

Dni mijały i mijały. Kurek początkowo je liczył, później stracił rachubę. Zdawało mu się, że zima trwa sto lat, a może i więcej...

Wreszcie któregoś dnia zawiął wiatr cieplejszy od południa. Kurkowi metalowe serce забиło nadzieją : może to już wiosna idzie ?

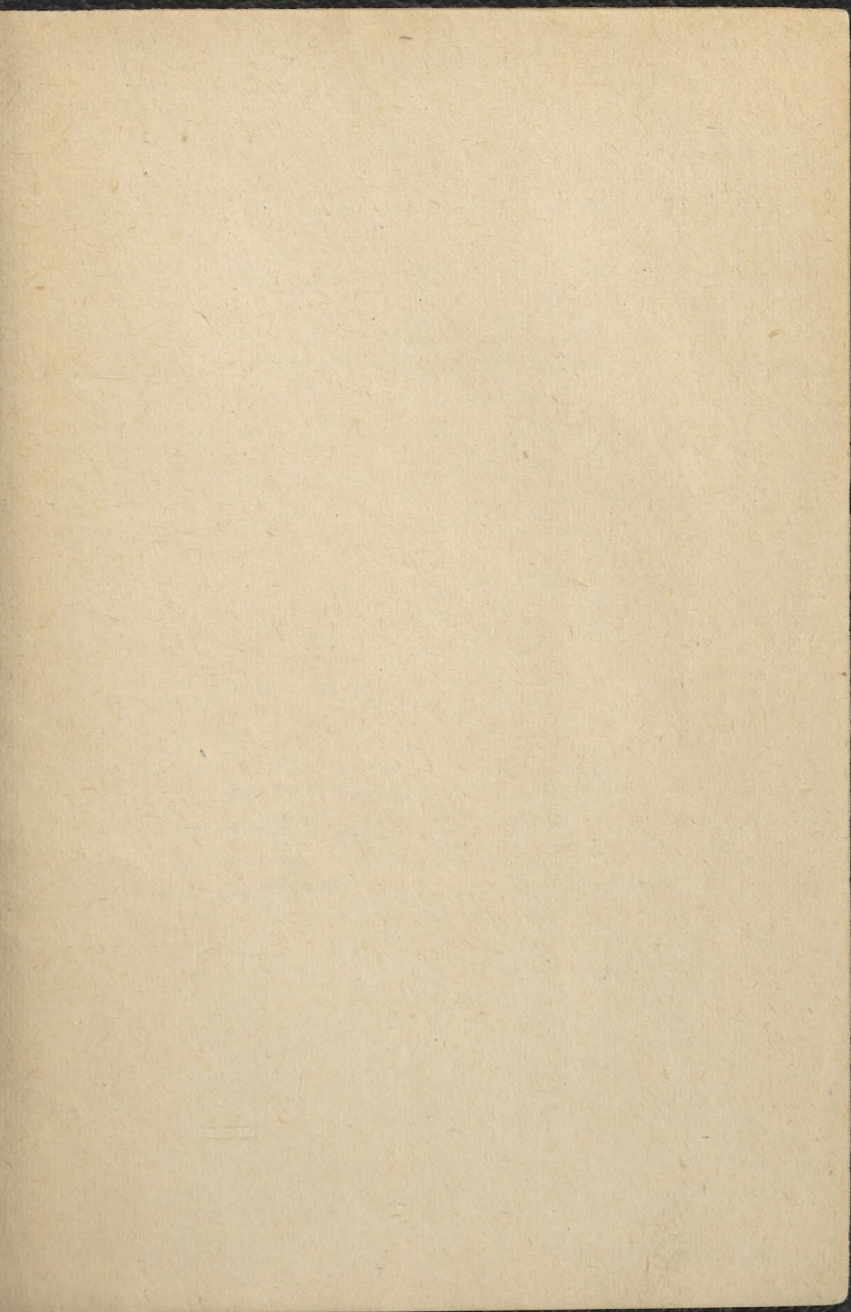
Śniegu zaczęło ubywać. Wracały wprawdzie śnieżyce, ale coraz słabsze, coraz rzadsze...

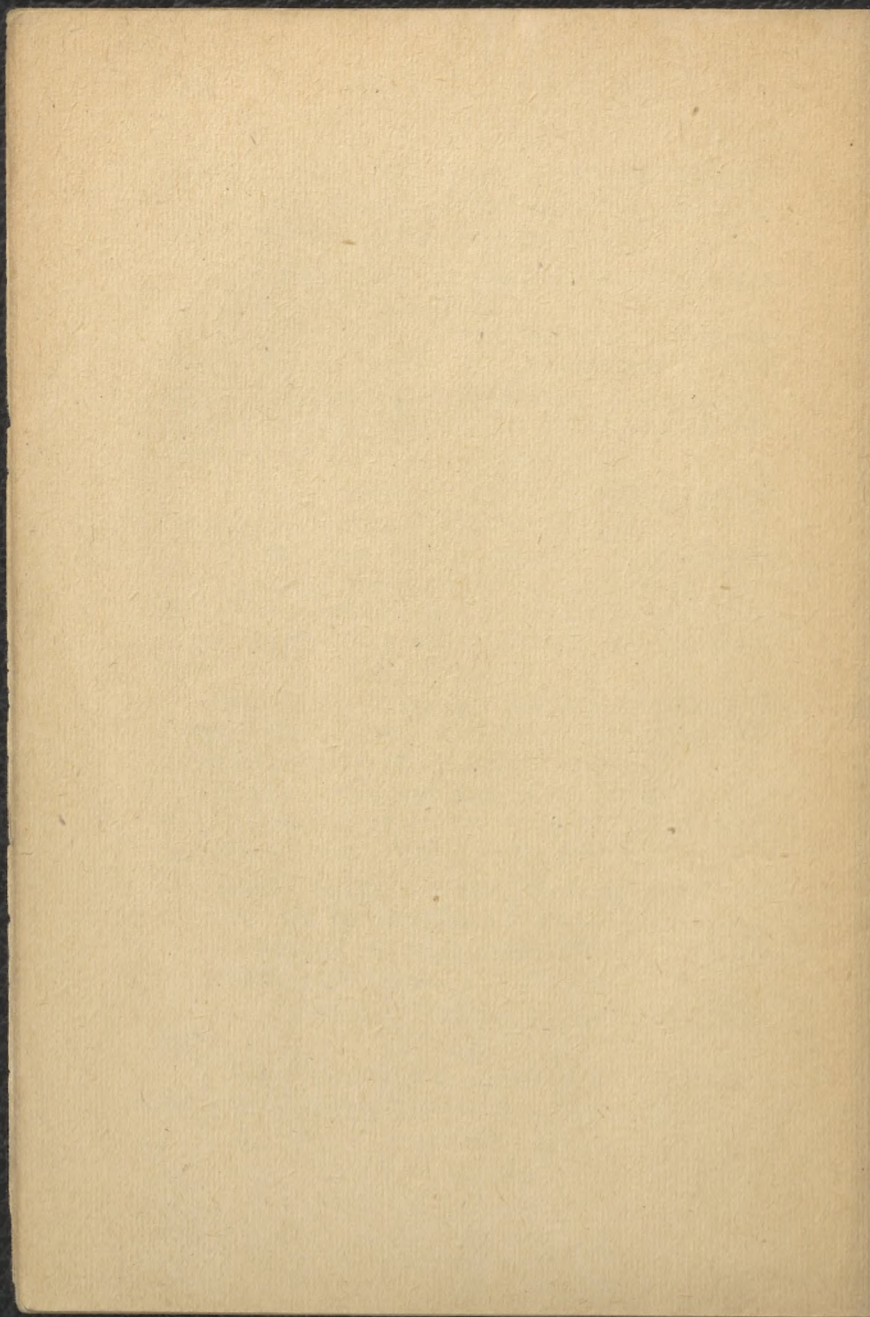
Aż wkońcu pewnego ranka usłyszał obok siebie wesole klekotanie.

— Bociek mój kochany ! — zawołał z radością.

Bociek powrócił do gniazda na topoli, — znak, że wiosna przyszła.







A. Wiacek
U-wa, 25. 3. 71
- 25 25.

Drukarnia Polska
«Ognisko»
3-bis, rue Emile Allez
Paris 17.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016443141